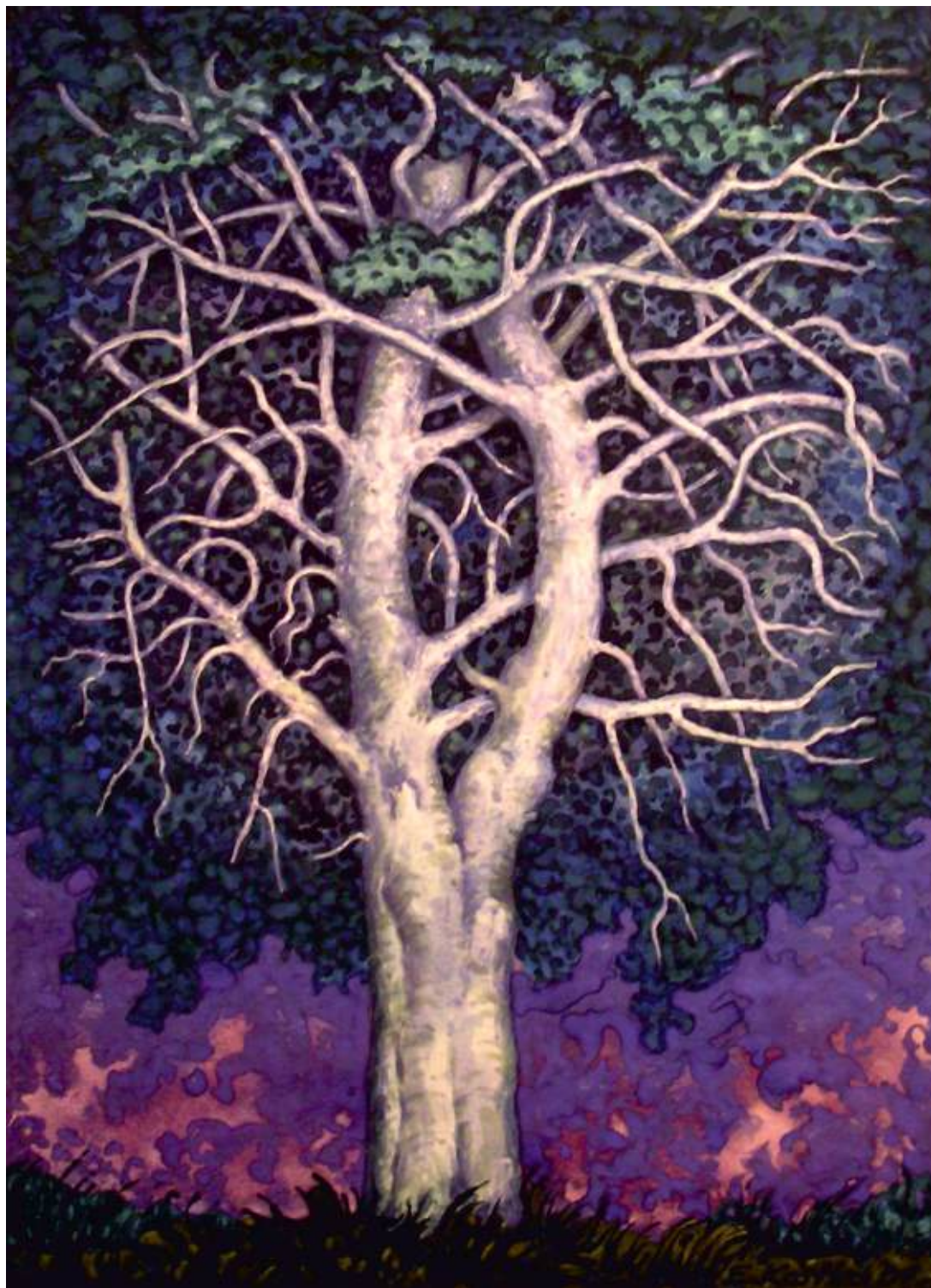




Edward Kostka

MALOWANIE GAJU



Nokturn w Boguszowie-Gorcach, akwarela, 30 x 40 cm

Zofia Gebhard

EDWARD KOSTKA

Refleksja

Zamierzał być architektem, ale uwiodło go malarstwo. Chociaż proza życia kazała mu szukać rozmaitych form zarobkowania, pozostał w nich konsekwentnie artystą. Nie ma więc przesady, kiedy mówi: „Całe moje życie to malarstwo i sztuka”.

Przez wiele lat zajmował się malarstwem ściennym. Wrocławianie mogli podziwiać jego efektowne kompozycje historyczno-obyczajowe w herbaciarni i zabytkowej drogerii, nieistniejących już w Rynku. To zajęcie nauczyło go wszechstronności – od realizmu, przez stylizację ku abstrakcji. Z kolei wieloletnia praca grafika w wydawnictwie Ossolineum stworzyła z niego typografa, ilustratora i kaligrafa. Tylko ktoś o tak niepomiernej, jak on, cierpliwości, mógł – niczym średniowieczny skryba – wyczelować pędzelkiem, w dwóch kolumnach, z inicjałami i stosownymi ornamentami modlitwę Majmonidesa wyglądającą jakby była wydarta ze starodruku. O tak, Edward mógłby kaligrafować manuskrypty, bo zna się nie tylko na literach i potrafi linię pociągnąć bez drżenia, ale potrafi też narysować wszystko – portret, skałę, ornament splątanych korzeni... architekturę i zwierzę. No i jest detalistą.

Te i inne, różnorodne doświadczenia – rysunkowe, stylistyczne, warsztatowe, a też technologiczne (zajmował się i grafiką, i konserwacją malarstwa przy Panoramic Raclawickiej, witrażem, projektowaniem mebli i kto wie czym jeszcze) – połączone z własnymi skłonnościami i upodobaniami, stworzyły artystę świadomego swoich możliwości, umiejącego patrzeć i dostrzegać, skupionego, skrupulatnego, o pewnej ręce, otwartej głowie i nieco nostalgicznej duszy. I który, od 1953 roku, od rozpoczęcia studiów we wrocławskiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych stworzył setki obrazów, rysunków i grafik. Oglądam je i oglądam. I bawię się skojarzeniami, szukaniem inspiracji i powinowactw. Odczytywaniem osobowości malarza, który najchętniej ukryłby się poza materialem obrazu.

Oto autoportret – na tle jesiennych brązów Edward w półpostaci, z siwą, krótką brodą i wąsami, patrzy z ukosa, trochę badawczo, trochę wyczekująco. Jest ubrany w błękitne i srebrzyste szarości, na głowie ma ciemniejszy, z dodatkiem zieleni, charakterystyczny beret, od wieków

upodobany przez malarzy, a w uniesionej przed sobą dłoni, między kciukiem a palcem wskazującym, trzyma... no właśnie! Pierwotnie był to pędzel – pędzelek – jedynka, może zerówka – ten od najbardziej miniaturowych przedstawień, najbardziej precyzyjnych dotknięć. Zatem obraz mówił przede wszystkim o profesji portretowanego. Ten pędzelek musiał jednak Edwarda uwierać, skoro po jakimś czasie zastąpił go trzymany w dwóch palcach... orzechem włoskim. Nie sądzę, by powodem zamiany była różnorodna symbolika tego opancerzonego owocu, raczej kierował artystą impuls i jakieś tylko jemu wiadome *stricte* malarskie potrzeby, ale wyszło jeszcze ciekawiej... Niczym u Dürera z kwiatkiem mikołajka.

Oto – namalowany mocnymi pasmami żywiołowego, soczystego koloru, ekspresyjny, Cezanne’owski w nastroju, fragment nadmorskiego lasu. Poskręcane sosny, nieoczywiste plamy światła, chmurne niebo przenikające się z chmurnymi zieleniami drzew. Oto – złocista czasza może drzewa, a może lasu, płonąca na tle również płonącego – błękitem i złotem – Van Gogh’owego nieba. Oto – na rozległym wzgórzu, wzniesionym plamami rozmaitych ugrów, błękitnieje błądy zamek. Zapewne do niego zmierza ledwo widoczny u stóp obrazu rycerz na – równie bladym – koniu. Może to sam Uccello?

Edward przyznaje, że jego ulubionym motywem jest pejzaż – zalesiony, bo kocha drzewa. Zwłaszcza sosny. Stare, rozrośnięte, powykręcane, sękate, z grubą, wyrazistą korą, z szeroko rozpostartymi konarami korony. Czy sosny przenoszą go do krainy dzieciństwa? – wspominał, że tam, na piaszczystych glebach rosły one niepokorne, niezależne, ekspresyjnie malownicze. I że najbardziej lubi malować w plenerze. Kiedyś woził ze sobą sztalugi, blejtramy, kasetę z farbami. Ale od jakiegoś już czasu poprzestaje na akwarelach. Akwarele maluje od zawsze. Tak jakby był to jego sposób na patrzenie, wchłanianie i zapamiętywanie tego, co widzi. Zatem akwarele pełne są szczegółów, z tendencją do prawdziwości. Ale czym jest prawdziwość, skoro pora dnia, światło lub jego brak rozpościerają przed oczami zupełnie inną rzeczywistość – i chodzi nie tylko o nastrój parkowej alei, ale i o osobowość każdego rosnącego na niej drzewa. Czym jest też owa prawdziwość w odniesieniu do pejzaży malowanych olejno w pracowni? Mówi o nich, że to rodzaj malowanej poezji, pejzaże baśniowe. Tak, te lesiste przestrzenie, wystylizowane, zgeometryzowane, łagodnie falujące kuliście uformowanymi koronami drzew, sprawiają wrażenie uśpionych, a może przyśnionych. Niczym zamarłe morze, nieco wyblakłe, jakby prześwietlone światłem nie z tego świata, są te Edwardowe lasy. Tu żaden powiew wiatru nie trąca gałęzi, żaden listek nie odstaje od czaszy, żadna kropla farby nie śmie wyjść poza kontur, a każde dotknięcie pędzla ma tę samą moc. Czasem zawikłania linii wprowadzają w te drzewne zjawy meandry mikrobiologii. Czasem jeden motyw pochłania całe płótno w jakąś monotematyczną opowieść o naturze

abstrakcji, która niekoniecznie jest abstrakcją. Tak jak w tych obrazach, których bohaterem stał się nieprzewidywalny żywioł morskiej fali. Pełna napięcia forma zbudowana jest konsekwentną monochromatyczną narracją. Zwłaszcza niepokojąca i złowieszczą wydaje się kompozycja utrzymana w tonacjach błękitu – od prawie bieli – nieba? – po mroczną głębię – oceanu?

Urodę i nieoczywistość strukturalnych kompozycji zgłębiał również w monotypiach. Monochromatycznych, bazujących na wykorzystywaniu przypadku, na rytmach, na pozornych podobieństwach wynikających z powtarzalności, ale przede wszystkim na ekspresji żywiołu jakim może być materia farby. Nad ekspansją, na którą czuwa uważny kreator.

Litografią zajmował się jeszcze na studiach, krótko, ale bardzo intensywnie. Uwięzione w teczках przez dekady ujawniają ponadczasową duszę *noir*, i jest to niezwykle malarski i nastrojowy. Na tych kompozycjach, niczym na przetrzymanych zbyt długo w wywoływaczu odbitkach fotograficznych, strzępy bieli wychwytyją z czarnego tła fragmenty rzeczywistości: akt, koń, nadmorskie moło, jacht, kilka budynków na nabrzeżu, obyczajowy obrazek z targu... Czerń i biel wydają się tutaj nie tyle odpoczynkiem od koloru, co zachłyśnięciem bogactwem możliwości – niuansów, półtonów, zderzeń, przerysowań... I zapewne dlatego do owego dwutaktu wielokrotnie artysta wracał, ale już inaczej, bo rysunkami, tworzonymi na bieli niezliczoną ilością dotknięć czubkiem pędzelka zanurzonego w czarnej farbie. Pajęcze roje punkcików. Pod nimi, z nich, płót, wałaca się komórka, drzewa o skłębionej, niczym obłoki, strukturze, wóz, poza kołami niewidoczny pod zajmującą całą powierzchnię kompozycji kopą siana, wypełnioną kłębiącymi się istnieniami, cieniami, stworami, widmami. Jak u Breughela – wóz, który nie jest wozem. Realia kreują fantazmaty, realizm ewoluuje w surrealizm, nadciąga burza, płoszy się koń, na ciemnym niebie, rozpostartym nad rozciągniętą wśród pagórków wioską, zwija się w elipsę wąż–kometa–galaktyka o głowie wielkanocnego jajka.

Właściwie nie maluje kwiatów. No, czasami. Ale obraz, który mnie zatrzymał rozwibrowaniem czerwieni i oranży, został zatytułowany *Heliotropy*. Rozżarzają go wiry podługowatych płatków, które nie płatkami są a płomieniami. Więc nie jest to wizja owych obracających się za słońcem roślinek, ale Słońca właśnie, Heliosa? A może też – malarstwa?

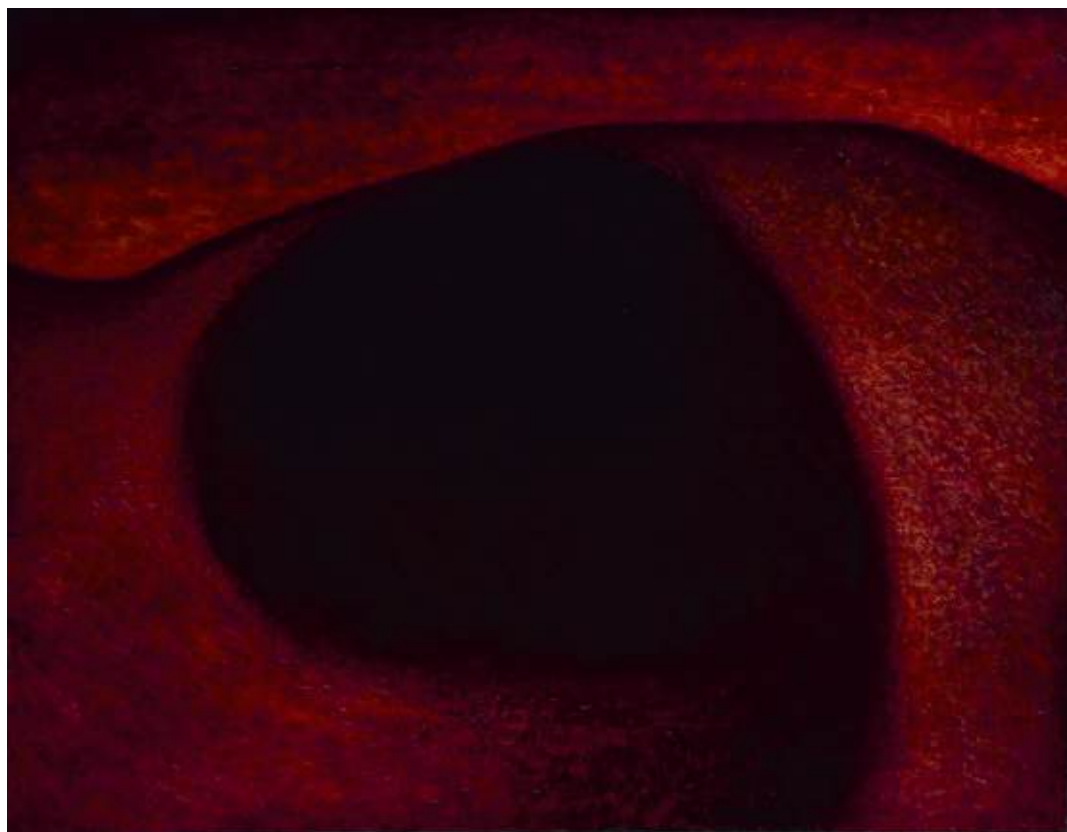
Takiego, jakie kocha Edward Kostka.

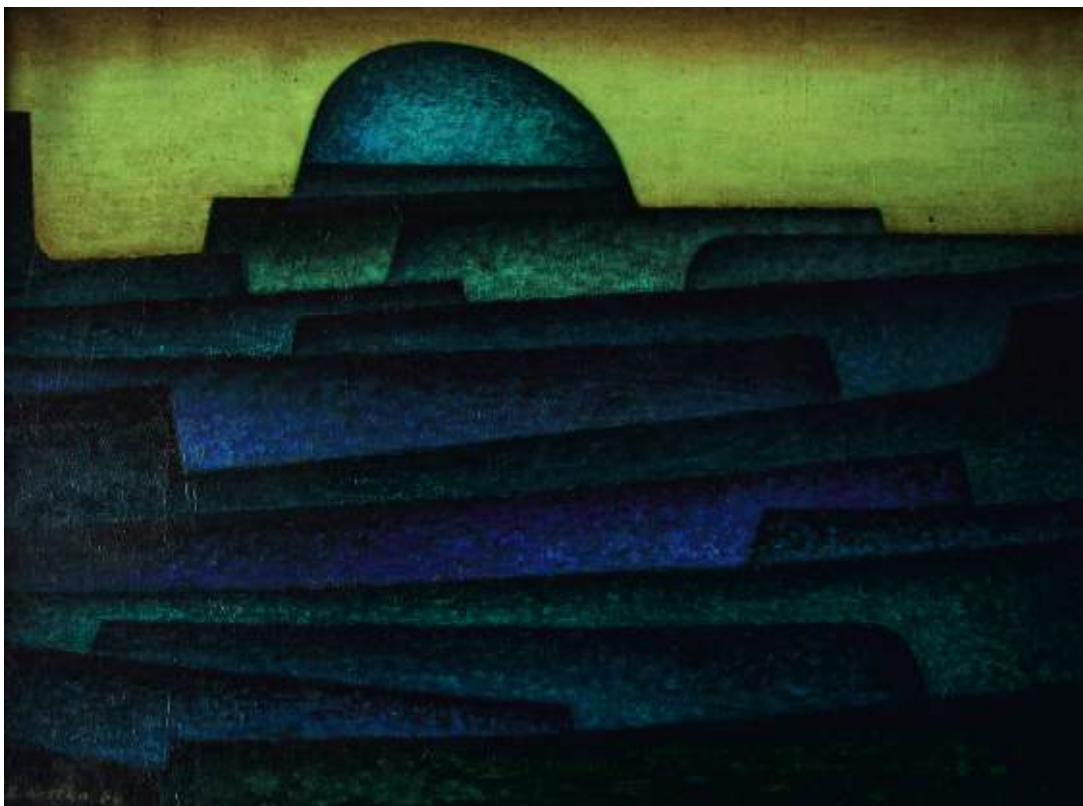


Pancerni, olej na płótnie, 80 x 100 cm



Chacona, olej na płótnie, 80 x 100 cm





Pejzaż z kopułą, olej na płótnie, 100 x 80 cm

*Glosa do oranżowej ewolucji,
olej na płótnie, 70 x 100 cm*



← *Wejście w głąb, olej na płótnie, 130 x 100 cm*



Arboledas, technika własna, 30 x 40 cm



Sosny w Międzywodziu, olej na płótnie, 50 x 60 cm

W sosnowym lesie, olej na płótnie, 60 x 73 cm



Aleja bukowa w Łańcutcie, akwarela, 32 x 43 cm



Pejzaż, olej na płótnie, 100 x 70 cm



Droga do Łańcuta, olej na płótnie, 50 x 70 cm



Łańcut baśniowy, olej na płótnie, 50 x 70 cm



Aleja bukowa w Łańcutcie, akwarela, 48 x 23 cm



33 x 55 cm



30 x 40 cm

W Brynku – Protoplaści, akwarela



33 x 55 cm



30 x 47 cm



31 x 49 cm



Motywy z Frankonii Bawarskiej, od lewej: Höchststadt, Falkendorf, Hannberg, akwarela, 28 x 38 cm



Oda ku radości, akryl na płótnie, 100 x 80 cm



Heliotropy czerwone, olej na płótnie, 73 x 92 cm



Ogród japoński, akwarela, 27 x 39 cm



Pejzaże baśniowe, technika własna, 24 x 18 cm



Rokitnik, akwarela, 23 x 34 cm



Wyschnięta kałuża, technika własna, 26 x 36 cm



Świerkianiec, akwarela, 39 x 53 cm



Pejzaż baśniowy, olej na płótnie, 80 x 70 cm



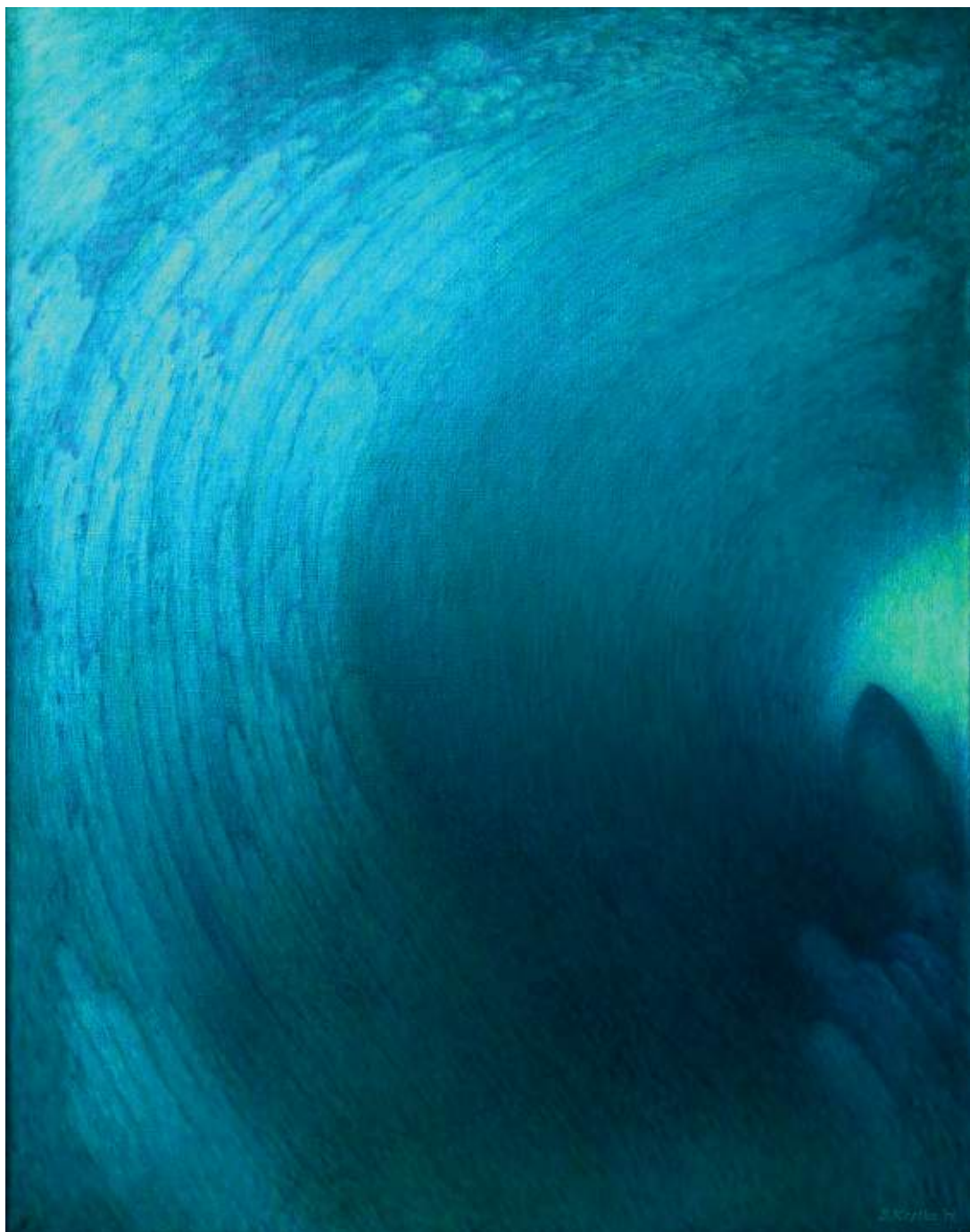
Jablonie, akwarela, 33 x 45 cm



Przejście, technika własna, 26 x 36 cm



Jablonie, akwarela, 33 x 45 cm



Dziewiąta fala, olej na płótnie, 73 x 92 cm



Brynek, akwarela, 31 x 43 cm



Miasteczko Śląskie, akwarela, 39 x 53 cm

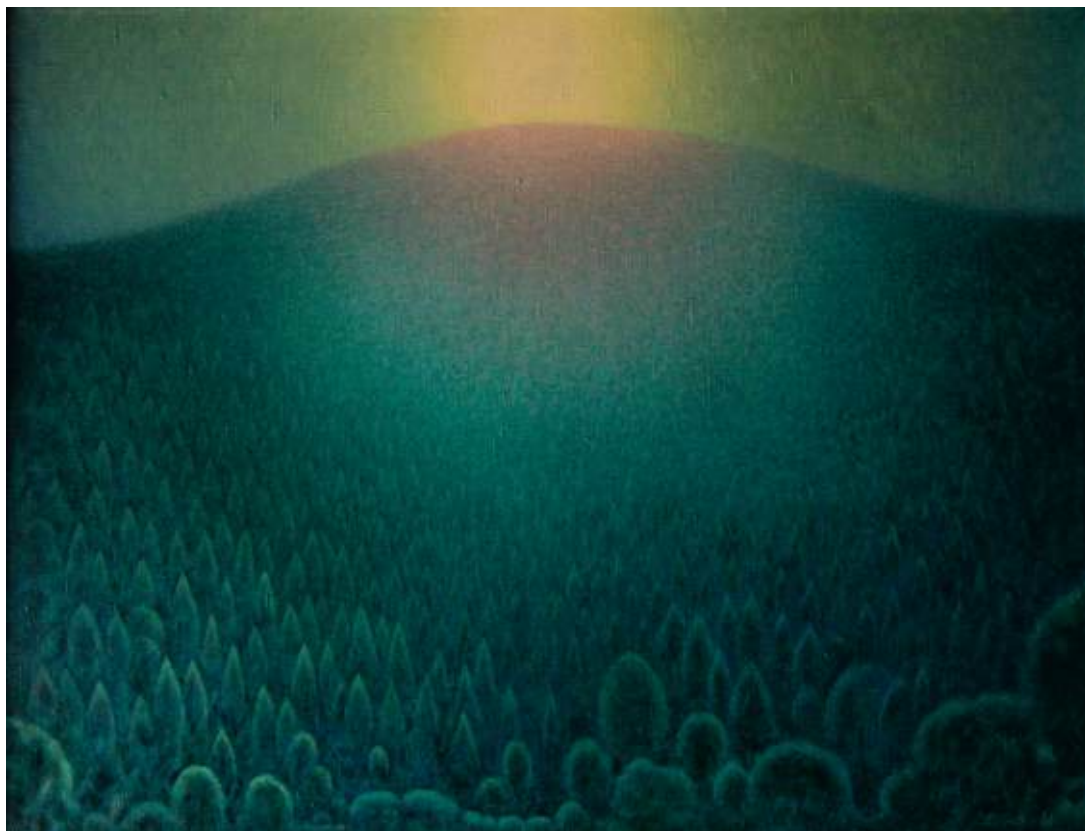


Sztolnia Czarnego Pstręga, akwarela, 38 x 28 cm



W krainie Krkonosza,
akryl na płótnie, 50 x 70 cm





Poranek na Przysłopie, olej na płótnie, 100 x 80 cm



*W krainie buka, akryl na płótnie,
80 x 120 cm*



*W Brynku – protoplasta,
akwarela, 28 x 38 cm*



Buki, akryl na płótnie, 80 x 120 cm



Sosna Sobieskiego w Żołyni, akwarela, 49 x 56 cm



Sosna w Świnoujściu, akwarela, 39 x 53 cm



W stronę Kowar, olej na płótnie, 70 x 50 cm



W krainie buka, akryl na płótnie, 80 x 120 cm



Świerklańiec, akwarela, 39 x 53 cm



*Promenada w Świnoujściu,
olej na płycie, 40 x 60 cm*



Staw w Świerklańcu, akwarela, 48 x 38 cm



Pejzaż nadmorski, akwarela, 44 x 32 cm



Plaża, akwarela, 37 x 25 cm



Łańcut zamek, akwarela, 32 x 45 cm



Błotnica Strzelecka, akwarela, 31 x 43 cm



Buki czerwone, akryl i olej na płótnie, 150 x 70 cm



3 cyprysniki, olej na płótnie, 80 x 70 cm



W krainie buka II, akryl na płótnie, 150 x 70 cm



Las mieszany, olej na płótnie, 80 x 70 cm



Bystrzyca Kłodzka, akwarela, 48 x 38 cm



30 x 40 cm



Kłodzko, akwarela, 38 x 48 cm



Jabłonie w Lipniku, akwarela, 53 x 39 cm



Gaj rokitnikowy, olej na płótnie, 59 x 41 cm



W krainie buka, olej na płótnie, 65 x 45 cm



4 lipy z Lipnika, akwarela, 27 x 39 cm



Milków, olej na płótnie, 42 x 64 cm



3 jesiony w Milkowie, olej na płycie, 33 x 55 cm



Biostruktury, technika własna, 27 x 36 cm





Biostruktury, olej i akryl na płótnie, 75 x 100 cm



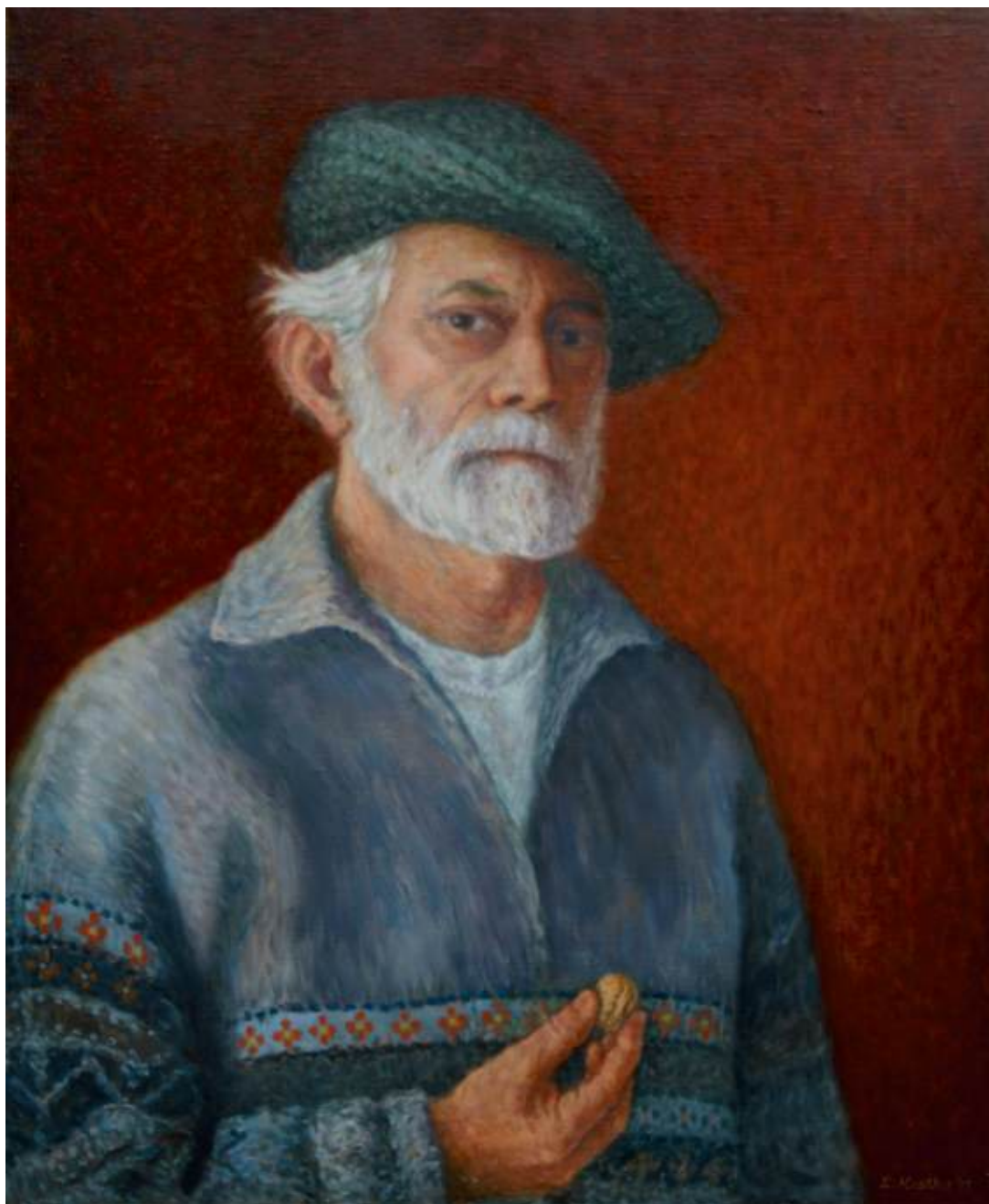
Speleostruktury, technika własna, 29 x 39 cm



Przełęcz Złota, akryl, 70 x 100 cm



Po kwarantannie, akryl, 70 x 100 cm



Autoportret, olej na płótnie, 60 x 73 cm

EDWARD KOSTKA

Relacja

Urodziłem się w sobotę, dziewiątego listopada 1935 roku w Borowej Wsi, w powiecie pszczyńskim. To były te tereny Śląska, które – po plebiscycie – należały do Polski. W połowie lat siedemdziesiątych, w wyniku reformy administracyjnej, Borowa Wieś, razem z czterema sąsiednimi, została wchłonięta przez miasto Mikołów. Mieszkaliśmy przy ulicy Piaskowej, w domu dziadków, rodziców mamy. Urodziłem się w tym właśnie domu. Był dziewiętnastowieczny, z oborą po prawej stronie. Obora miała murewany strop i tam dziadek trzymał siano dla krów. Były dwie krowy, koń, ot, takie drobne gospodarstwo. Drobniotkie. Do części mieszkalnej wchodziło się z sieni, z której prowadziły schody na strych i wejścia do trzech pokoi. Po prawej stronie była kuchnia, służąca jednocześnie za pokój. Był tam piec, łoże, komoda, stół. Spiżarnia stanowiła osobne pomieszczenie. W sypialni stały dwa czy trzy łóżka, szafa, komoda, coś tam jeszcze, coś tam jeszcze. Był jeszcze jeden pokój, a nad jego drzwiami wisiał, w półcieniu, obraz psiej rodziny. Mamusia i małe szczeniaki, które się do niej tuliły. Ciągłe się temu obrazowi przyglądałem, bo fascynowało mnie, że w zależności od tego, ile światła wpadało do sieni, inaczej się prezentował. Podobało mi się to.

Za domem były łąki, przez środek których przepływała rzeczka Promna, dopływ Kłodnicy. No i niedaleko był las, i to zróżnicowany las. Przede wszystkim jednak na tamtych piaszczystych glebach rosły sosny, kosodrzewinowate, niskopiennie. A te, które z dawien dawna rosły to się powykręcały, porobiły ciekawe, artystyczne, malarskie, powiedziałbym.

Takie to było miejsce, w którym się wychowałem, dorastałem, a pewne wydarzenia, które tam zaszły, w bardzo znaczący sposób wpłynęły na moją psychikę i na potrzebę spostrzegania rzeczy, zjawisk. Zresztą, wzrok jest tym elementem mojej świadomości, który pozwalał mi od najmniejszego zapamiętywać wszystko, co się działo wokół mnie, od kiedy skończyłem dwa, może trzy lata. I ja mam to wszystko przed oczyma do dziś.

Miałem cztery lata, kiedy wybuchła wojna. Ojciec wsiadł na rower i gdzieś pojechał, żeby coś zorganizować, przygotować się do tego, co się

będzie działo. A babcia postanowiła wziąć mnie i uciekać na dzikie kartofliska. To były tereny pobagrowe. Tam wybierano piasek do podsypki w kopalni Bielszowice. W jednych miejscach piasku było więcej, w innych mniej, a tam, gdzie go wybrano, wybijała woda. Te tereny porastały wysokimi roślinami, na które mówiono dzikie kartofle. I babcia postanowiła tam się ukryć. Od domu to było jakieś półtora kilometra. Zaszliśmy już dość daleko, kiedy nadjechał ojciec i pyta: „a wy dokąd? z powrotem do domu!”. Posadził mnie na ramkę, wróciliśmy i przesiedzieliśmy w domu do wieczora. Było spokojnie, bomby nie spadały. Jednak wszystkim towarzyszyło przeświadczenie, że w nocy może coś się dziać i trzeba się jednak schować. Na trzydzieści dziewięć domów, stojących przy naszej ulicy, tylko jeden, który został wybudowany w 1936 roku, miał piwnicę. To był dom Rolnika. Tego Rolnika, którego wnuk jest przedsiębiorcą, produkuje i handluje przetworami warzywnymi. Spędziliśmy całą noc w tej piwnicy. Dzieci miały dwa boksy wyściełane słomą, jakiś koc. Kobiety cały czas na głos się modliły, więc trudno było zasnąć. Zresztą, nie pozwalało też spać napięcie, że coś się może wydarzyć. I w środku nocy nagle usłyszeliśmy jakiś hałas, walenie w drzwi. Dziadek mój, Antoni Kostka, który wynajmował pokój w domu Rolnika, wstał i wyszedł na zewnątrz. Nikogo nie ma. Ale nagle usłyszał i zrozumiał, co się stało – obok była obora, krowa urwała się z łańcucha i waliła rogami w drzwi. Dziadek krowę przywiązał i wrócił do piwnicy.

Dopiero w maju, już było zielono, już biegaliśmy na bosaka, gdy pewnego dnia pojawił się, z karabinem na plecach, niemiecki żołnierz. W hełmie, w płaszczu. Spacerkiem szedł, robił sobie obchód. Przeszedł przez wieś, poszedł dalej. Po jakimś czasie zaczęły przyjeżdżać grupki młodych – w krótkich spodenkach, w skórzanych butach. Hitlerjugend. Zaczęły się zabawy nawiązujące do wojennych. Łazili po krzakach, laskach, maszerowali z flagą, śpiewali. Ale na ogół było spokojnie. Dopiero pod koniec wojny, kiedy ofensywa rosyjska się zbliżała, zaczęło się trochę dziać. Niedaleko naszych domów pojawił się jakiś oddział i zaczął kopać stanowiska dla piechoty. Kopali przez dwa dni, a potem nagle zabrali manele i uciekli. A w lesie, zaczynającym się jakieś dwieście metrów od nas, głębokim na więcej niż pół kilometra, za którym znajdowała się szosa prowadząca w prawo do Zabrza, w lewo do Chudowa, zadekował się jakiś oddział Wehrmachtu. Okopali się i pilnowali szosy. A że zima była mroźna, codziennie, zazwyczaj dwóch żołnierzy z tego oddziału przychodziło do nas, żeby się ogrzać i napić czegoś gorącego. Rozsiadali się w kuchni, rozmawiali z babcią, która dobrze знаła niemiecki. Herbaty nie było, ale babcia miała różne zioła, które zbierała i suszyła, i piło się herbaty ziołowe. Któregoś dnia, kiedy nakarmiłem już króliki i posypałem kurom, bo zawsze musiałem coś tam w domu pomóc, wyszedłem poślizgać się na łyżwach na łące, pomiędzy naszym domem a tym lasem. Wylało, woda zamarzała w duże łachy lodu. Przywiązałem łyżwy drutem do butów

i poszedłem. Byłem może piętnaście metrów od płotu, kiedy nagle koło ucha coś mi zaszumiało i w tym samym momencie usłyszałem huk wystrzału. I po chwili drugi wystrzał. Oba pociski uderzyły nisko w dach, wbiły się mocno w papę. Dopiero wiosną, kiedy śnieg stopniał, wygrzebałem z papy dwa splaszczone pociski karabinowe. Najprawdopodobniej to owi żołnierze niemieccy, którzy pilnowali drogi i pijali nasze herbaty ziołowe, strzelali do mnie.

17 stycznia 1945 roku z obozu Auschwitz-Birkenau wymaszerował „pochód śmierci” – pięćdziesiąt tysięcy więźniów; prowadzono ich do Gliwic. Kiedy minęli Mikołów, znaleźli się na drodze asfaltowej, która w pewnym momencie przechodziła blisko naszego domu, jakieś sześćset – siedemset metrów. Obserwowaliśmy ten przemarsz tysięcy ludzi. To trwało od wczesnego ranka do późnej nocy. W tym pochodzie szedł przyjaciel ojca, Alfred Panic, który zorganizował ucieczkę. Był mieszkańcem Bielszowic, dobrze znał teren. Kiedy nadchodził coraz ciemniejszy wieczór, a pochód minął już Borową Wieś, przechodził przez Paniówki i zbliżał się do Przyszowic, siedmiu więźniów, dogadanych ze strażnikiem – oczywiście jakieś precjoza wcześniej poszły w ruch – oddaliło się w las i przez ten las, potem przez pola, przez łąki, a było dużo śniegu, bardzo ostra zima była wtedy, szli w pobliżu rzeki Kłodnicy, przez kolejny las i kolejne łąki, i przemarznięci dotarli do domu, w którym mieszkaliśmy. Zostali zakwaterowani na strychu nad oborą, w sianie, i w tych pasiakach, otuleni w koce przesпали pierwszą noc i wiele kolejnych. Następnego dnia ojciec wysłał mnie do Paniówek do swojego starszego brata, żeby jego córka, Erna do nas przyjechała. Erna pracowała w Bielszowicach – dzisiaj to Ruda Śląska – na kolei, miała potrzebne dobre dokumenty, była odważna i przebojowa. Przez kładkę na Kłodnicy, z lewej strony ostatnich domów przy naszej ulicy Piaskowej, co jakiś czas przeprowadzała któregoś z lokatorów strychu do Bielszowic. Tam przejmowali ich zaprzyjaźnieni ludzie, którzy albo mieli mieszkanie bezpieczne, albo ogrodnictwo i jakieś zakamarki. Nie potrafię powiedzieć, w jakie miejsca Erna ich prowadziła, ale potrafiłbym narysować drogę, którą szli: ścieżką przez las, potem przez tory, a po prawej stronie za torami był dworzec... Te przeprawy odbywały się zawsze późnym wieczorem. Tymczasem w pobliskim lesie nadal stacjonował oddział Wehrmachtu i nadal zmarznięci żołnierze przychodzili codziennie do naszego domu, żeby się ogrzać. Któregoś dnia przyszło dwóch, po południu. Okazało się, że jeden to Ślązak, mieszkaniec Katowic, a drugi Jugosłowianin, jakiś Chorwat prawdopodobnie. Siedzieli w kuchni u babci, w której się całe życie toczyło, napili się herbaty, raz, drugi, zrobiło się szaro, zrobił się wieczór, zrobiło się ciemno i nagle oświadczyli, że oni już nie wracają do lasu. Dezerterują. Babcia poszła po ojca, który przyszedł, sprawdził ich karabiny. U jednego brakowało naboju, a on się pochwalił, że ustrzelił „Rusa”. Widziałem, że ojcu to się nie spodobało, ale i tak im pomógł. Umieścił ich w stodole, w sianie. Na strychu więźniowie,

w stodole dezerterzy. Ale to nie koniec. Dwaj Francuzi, którzy mieli polskie korzenie, zawieruszyli się w tym marszu z Auschwitz, kiedy organizowano ucieczkę. Uciekli dopiero z transportu w Gliwicach, z wagonu, ale dopadła ich policja kolejowa. Zaprowadzono ich na posterunek, a tam jakaś awantura, sporo ludzi, więc zamknięto ich na piętrze w pustym pokoju. Zobaczyli, że nie ma krat, otworzyli okno, popatrzyli – na dole ogród, krzaki, dużo śniegu, więc skoczyli w ten śnieg i w nogi. Było ciemno, bo obowiązywało zaciemnienie. Drogę znali, bo szli nią do Gliwic, nazwisko ojca też znali. Doszli. I co z nimi zrobić? Na strychu nie ma już miejsca, w stodole dezerterzy. W następnym domu, którego właścicielem był Paweł Musioł, wtedy więzień Dachau, mieszkały trzy kobiety – jego niewidoma żona, Agnieszka, jej matka i córka Musiołów, moja koleżanka, o rok starsza, Leokadia. Była stodoła, obora, w oborze krowa, nad oborą siano. Tam się nie zamykało obory i stodoły. Ojciec nie miał wyjścia, zaprowadził ich do tego siana. Nocą donosił im jedzenie, kiedy te panie spały, kiedy światła były wygaszone. Tam zresztą nie było prądu, świeciło się karbidówkami, bo tam mieszkali sami Polacy i władze stwierdziły, że nie ma potrzeby elektryfikacji tych trzydziestu dziewięciu domów przy ulicy Piaskowej.



Więźniowie uratowani z marszu śmierci w miesiąc po wyzwoleniu

I tak to jakoś funkcjonowało, ale pewnego dnia, była chyba niedziela, widzimy, że naszą ulicą Piaskową jedzie samochód wojskowy i skręca prosto do stodoły sąsiadek. Zaparkowali w stodole. Kobietom kazali się wynosić. Zajęli dom. Jakieś dowództwo, prawdopodobnie.

Kobiety znalazły schronienie w piwnicy u państwa Rolników. Ojciec próbował dotrzeć do obory, ale nie pozwolono mu. Na argument, że ma nakarmić i wydoić krowę, odpowiedziano, że już to zostało zrobione. Minęły trzy albo cztery dni i patrzmy – auto wyjeżdża na drogę i znika. No więc ojciec natychmiast wali tam, sprawdzić jak jest. Okazało się, że przetrzymali. A po paru dniach Rosjanie byli już na Śląsku, Francuzi zeszli do nas, poczuli się wolni.

Był maj. Do ojca przyszedł stryj Wincenty, który mieszkał z rodzicami dwa domy dalej, u państwa Rolników, przyszło kilku znajomych. Rozmawiali na podwórku, pod piękną lipą, która tam rośla. W pewnym momencie od strony rzeki nadeszło dwóch chłopaków, osiemnastolatków. Jeden wysoki, drugi niski, krępy i miał włosy długie, które zakrywały mu twarz. Ten wysoki wszedł do domu, w domu była mama, coś tam robiła przy obiedzie, bo pora była przedpołudniowa, i poprosił o szklankę wody. Napił się, podziękował i wyszedł. A ten niski położył się na trawie i prawdopodobnie usiłował podsłuchiwać, o czym jest rozmowa. Panowie, którzy siedzieli pod lipą, obserwowali ich, bo uznali, że zachowują się dziwnie i najprawdopodobniej zostali nasłani. Ojciec i stryj byli bardzo lewicowi w swoich przekonaniach, w tamtym czasie uczestniczyli w organizowaniu placówek administracji państwowej, bez jakichkolwiek kontekstów politycznych. Ojciec był zresztą znanym działaczem już przed wojną. W każdym razie uznano, że to podejrzana sprawa. Stryj poszedł do siebie, wziął pistolet i wrócił. W tym czasie ci młodzi ludzie poszli sobie. Ojciec też wziął pistolet i obaj ze stryjem poszli za nimi, ale się rozdzielili, bo do lasu można było podejść z różnych stron. I to stryj spotkał tamtych dwóch na skraju lasu, a kiedy zapytał kim są, niższy wyciągnął pistolet, strzelił do niego i uciekł. Mężczyźni, którzy zostali na podwórku nadbiegli, dopadli wyższego, którego przytrzymał już stryj, a stryj z odbezpieczonym pistoletem poszedł za tym, który uciekł. Doszedł niedaleko, minął dom leśniczego i przy następnym, domu Kozubków, zaczął słabnąć. Najpierw przytrzymał się płotu, potem usiadł, w końcu się położył. Obejrzał postrzał i doszedł do wniosku, że nie ma szans na to, żeby go uratowano, bo do najbliższego szpitala jest z osiem kilometrów, a samochodów tam nie było. Był jeden koń, ale do niego trzeba było dojść ze dwa kilometry. Ktoś pojechał po niego na rowerze i pojawił się pan Żmuda ze swoim siwkim. Tymczasem stryj podjął męską decyzję i odebrał sobie życie. Strzelił sobie w głowę. A ojciec pognał za jego zabójcą, który uciekł w stronę Kłodnicy i ukrył się w rzece, przy brzegu, pod darnią, sięgającą wody. Miał tam bańkę powietrza i tak siedział. W drodze ku Kłodnicy ojciec minął chłopców, którzy paśli krowy na ugorach i spytał, czy tędy ktoś uciekał, a kiedy potwierdzili, zabrał ze sobą jednego z nich, Bolka, syna sąsiadów. I kiedy chodzili brzegiem rzeki, wypatrując, w pewnym momencie ojciec zauważył, że woda się zabrudziła. Aha, to znaczy, że tam siedzi. I pomyślał, że nie będzie strzelał z pistoletu, bo to

niepewne. Powiedział do Bolka, żeby poszedł do niego do chałupy, do Sali – to moja mama, Salezja – bo w sypialni, w łóżku, pod stróżakiem, leży fuzja, myśliwska broń. I żeby przyniósł mu tę fuzję. Bolek poszedł, mama dała mu fuzję, a w tym czasie stryj już nie żył. Dziadek zobaczył, że Bolek idzie z fuzją, wziął ją i oddał w niebo cześć synowi, a Bolkowi dał karabin leśniczego z pierwszej wojny. Ojciec wziął ten karabin, zarepetował i zaczął strzelać w darń, z odległości dobrych kilkudziesięciu metrów. Strzela raz, strzela drugi, i z dziury wyłazi ten bandzior. To była pora, kiedy wracałem ze szkoły. Mijałem dom przed piekarnią Jaworskiego, przy płocie stały dwie panie, jedna mnie spytała, czy jestem synkiem od Kostki, a kiedy potwierdziłem, mówi: chyba zastrzelili twojego tatę. Ostro przyspieszyłem, minąłem kolejny dom, skręciłem na naszą ulicę, uszedłem może ze sto metrów, kiedy zobaczyłem jak z naprzeciwka nadchodzi grupa mężczyzn, a w środku dwóch młodych z zawiązanymi z tyłu rękami. O nic nie pytałem, pognałem do domu, ojca nie było, mama i ciotka Marta zapłakane – mówią, że Wincent nie żyje. Poszliśmy na drogę. Od strony Kozubka i leśniczego jedzie furmanka, pan Żmuda powozi, na wozie wyścielanym słomą, przykryty białym prześcieradłem leży Wincent. Odsłoniłem twarz stryja. Mama, ciotka i ja długo nie byliśmy w stanie powstrzymać płaczu. Ponieważ obydwaj, i ojciec, i stryj, byli znani w środowisku i w okolicy, to było duże poruszenie. Sporo się o tym mówiło. Oczywiście sekcja zwłok, medycyna sądowa i tego typu sprawy, w Mikołowie to się działo, a po paru dniach zorganizowano uroczystość pogrzebalną. Z udziałem księdza proboszcza, z którym się w międzyczasie z ojcem poznali, polubili, zaprzyjaźnili nawet. Lubo się chyba nazywał. Ja go pamiętam z lekcji religii, jak sobie chodził po klasie i opowiadał. Sympatyczny człowiek. Kościółek był nieduży, zabytkowy, przeniesiony przed wojną z Przyszowic, gdzie wybudowano murowany, a ten – deska po desce, belka po belce przeniesione i postawione przy szosie w Borowej Wsi. Do środka ludzie się nie mieścili, bo były tłumy, więc msza odbyła się na zewnątrz. I potem kondukt poszedł na cmentarz. Właściwie to było jeszcze pole, na którym rosły cztery brzozy, przy nich pochowano tych, którzy padli w czasie marszu z obozu. Potem, kiedy już określono wielkość i obręb cmentarza, przeniesiono ich kawałek dalej. Ale blisko tego grobu jest grób stryja, pierwszy pochówek miejscowego na tym cmentarzu. Przemówienia. Przemawiał między innymi ktoś od starosty powiatu rybnickiego – bo wicestarosta, nazywał się Biały, zaliczył w czasie wojny okres, kiedy się ukrywał, i ukrywał się u nas, na strychu. Zresztą, medal „sprawiedliwego” na nagrobku stryja potwierdza to, co robił i poświadczają, jakim był człowiekiem. W 1987 roku Wincenty Kostka pośmiertnie, Wilhelm Kostka i Erna Kostka-Stasiak zostali udekorowani Medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata.

Kiedy miałem rocznikowo siedem lat (rocznikowo, bo urodziłem się dziewiątego listopada), musiałem pójść do szkoły. Śląsk, gdzie w tych

mieszkaliśmy, wcześniej polski, został w jesieni 1939 roku wcielony do Rzeszy, więc była to szkoła niemiecka. Nie znałem słowa po niemiecku, bo u nas w domu nikt po niemiecku nie mówił. Babcia i dziadek znali ten język, więc służyli nam za tłumaczy. Ojciec też znał, ale nie używał, chyba że musiał w sprawach urzędowych. Mama zawiozła mnie rowerem, bo to było dosyć daleko, ze cztery kilometry od domu, zostawiła mnie i wróciła, bo już miałem rodzeństwo. Kiedy trochę zadomowiłem się w tej szkole, wykonałem moje pierwsze malarstwo ścienne. Było tak: na jednej z przerw któryś z kolegów dał mi sztyft od baterii, czarny, grafitowy, twardy. Jak się wchodziło do szkoły od strony ulicy, po obu stronach furtki były słupki. Spodobał mi się ten słupek, ciepły w kolorze i na nim popelnilem abstrakcyjny rysunek, niemal *sgraffito*, wbijając grafit w tynk. Przerwa się skończyła, wszyscy do klasy i pani nauczycielka, bardzo miła Frau Szymański pyta mnie, czy to ja jestem autorem tego dzieła na słupku. Przyznałem, że tak, bo byłem z siebie zadowolony, wręcz dumny. A ona kazała mi po lekcjach iść do woźnego, który urzędował w piwnicy, wziąć wiaderko z wodą i papiery, i tymi papierami wszystko tak wyszorować, żeby ślad nie został. Co to była za katorga! Myłem, szorowałem, a rysunek trwał, bo głęboko wrył się w tynk. No, ale ile mogłem, tyle go zmyłem. Mój pierwszy popis.

Pod koniec grudnia 1945 roku przeprowadziliśmy się do Paniów – ojciec dostał tam pracę – został kierownikiem gospodarstwa – „resztówki” rozparcelowanego dworu Schaffgotsch’ów. Były tam stawy – jeden czynny, drugi z wodą, ale nic w nim nie pływało, a dwa wyschnięte. Był park, ogród, łąki, trochę pól uprawnych i dwa konie z demobilu. Pamiętam jak ojciec z dawnym pracownikiem dworu pojechał po trzydzieści parę krów w okolice Turoszowa, Żytawy. Wyprawa trwała ponad dwa tygodnie – krowy wieziono pociągiem do Orzesza i stamtąd pędzono szosą. Tak to wtedy było.

W 1949 roku zdałem do liceum w Wirku. Dzisiaj to jedna z dzielnic Rudy Śląskiej. Z Paniów to było z dziewięć kilometrów. Tak się zdarzyło, że skradziono mi rower, którym dojeżdżałem. Trzeba było iść piechotą albo przysiąść na bagażniku u kogoś, co było bardzo uciążliwe. No i zbliżały się sloty. I akurat wtedy przyszedł do klasy dyrektor i oznajmił, że jest możliwość starania się o internat, ale... gdzieś. Natychmiast się zgłosiłem, napisałem podanie i przyznano mi liceum z internatem w Głubczycach. To jest od Mikołowa dość daleko, za Rybnikiem i Raciborzem.

Zaskakujące i interesujące okazało się dla mnie, że około dziewięćdziesięciu procent uczniów w obu klasach ósmych to były osoby, które przywędrowały ze Wschodu, najczęściej z okolic Kołomyi czy Tarnopola. Kiedy już nawiązałem bliższe znajomości, niejednokrotnie ktoś mnie zapraszał do siebie na soboty i niedziele, i czasem okazywało się, że w tych domach rozmawiano po ukraińsku, bo były to mieszane rodziny.

Liceum było na dobrym poziomie, absolwenci dostawali się na studia, do Krakowa, Wrocławia, Warszawy. Wtedy już sporo rysowałem, pejzaże, portrety kolegów, malowałem akwarele. Próbowalem też farb olejnych, ale nie miałem warsztatu i nie bardzo wiedziałem jak sobie poradzić. Nie myślałem o Akademii Sztuk Pięknych, bo wydawała mi się zbyt wysokiej rangi, planowałem studiować architekturę, bardziej przyziemną i praktyczną. Ale tak się złożyło, że przyszło do sekretariatu pismo informujące o możliwości starania się do PWSSP we Wrocławiu na wydział ogólny, a po nim na kierunki ceramiki, szkła albo architektury wnętrz. Ucieszyła mnie ta architektura wnętrz i zdecydowałem się zdawać.

Egzamin trwał dość długo, może i dziesięć dni, nie pamiętam. W każdym razie nie byłem przygotowany na taką ilość dni, po paru nie miałem za co pójść do baru mlecznego, żeby kupić bułkę i kubek mleka. Mieszkaliśmy w akademiku, ja w pokoju ze Zbyszkim Horbowym i Jurkiem Antkowiakiem. Pamiętam, że na egzaminie z rysunku postawili na sztaludze deskę, karton papieru, a przed nami gipsowy posąg jakiegoś greckiego boga. Potem było malarstwo, zgodnie z narzuconą metodą działania i kierunkiem studiów, realizmem socjalistycznym, więc malowałem jakichś górników. Jeszcze kompozycja i egzamin ustny. To był taki egzamin sondujący. Zdało nas około trzydziestki, zdawało ze dwa razy tyle. Była to jedna duża pracownia. Kiedy jesienią 1953 roku zacząłem studia, a przez dwa lata podstawowym zajęciem był rysunek i malarstwo, już wiedziałem, że to jest to, co będę chciał robić do końca życia. Tak mnie pochłonęło malarstwo, że pamięć o architekturze czy architekturze wnętrz przestała istnieć. Oczywiście były jeszcze inne przedmioty, łącznie z historią sztuki, którą wykładał wspaniale profesor Karol Estreicher. Malarstwa uczyła mnie pani Maria Dawska, miałem z nią dobre relacje. Jej mąż, profesor Stanisław Dawski przychodził na przeglądy. Kiedyś zrobiłem trochę więcej niż inni, intensywniej pracowałem, z jakąś energią, i Dawski podszedł do mnie po przeglądzie, szturchnął mnie i powiedział: będzie pan miał ciężkie życie... No, niech pan pracuje... Później miałem z nim projektowanie malarstwa ściennego. Dużo projektów, korekt, rozmów, dużo dobrej nauki. Bardzo mu się podobały moje litografie, które robiłem w Kalkomanii w Wałbrzychu, gdzie byłem na praktyce. Poprosił mnie o podpisanie paru egzemplarzy. W 1956, kiedy byłem na czwartym roku, zaproponowano mi pracę przy konserwacji *Panoramy Racławickiej*. Zorganizowałem zespół kilku kolegów i przez dwa lata, nie zaniedbując studiów, pracowaliśmy pod kierunkiem profesora Wacława Szyborskiego, byłego głównego konserwatora Wawelu. Jego prawą ręką był Rufin Kominek, później rektor PWSSP. To było dużo żmudnej roboty. Mówiąc ogólnie – płótno *Panoramy* było pocięte na bryty i nawinięte na walce. Pracowaliśmy w holu Muzeum Narodowego, gdzie te bryty rozkładaliśmy. Były na nich załamania i dziury, jeszcze z czasów pierwszej wojny. Trzeba było załamania rozprostować, dziury przekleić. A ja w tym

głównym brycie z Kościuszką, całym, od figury do dołu, zamalowywałem cienkim pędzelkiem ubytki. Sporo tego było. Ale jakoś to zmogliśmy.

Studia trwały wtedy sześć lat – szósty rok był poświęcony na dyplom. Profesor Stanisław Pękalski był wtedy dziekanem. Nie mieliśmy jakichś dobrych relacji, różniliśmy się w niektórych sprawach, co dawał mi odczuć, ale to on podsunął mi temat pracy dyplomowej: *Nowy ratusz w Amsterdamie*. To przeszklona architektura, ale jest tam też ściana, dla której zaprojektowałem malarstwo ścienne. W duchu realizmu, ale bardzo przetworzone i nieoczywiste. Chyba tylko ja wiedziałem, że dotyczy problemu wyzwolenia z kolonializmu holenderskiego. Do tego obrazy olejne i dwanaście litografii. Dostałem wyróżnienie, a było tylko jedno wyróżnienie na malarstwie.

I zaczęła się walka o utrzymanie. Mieszkałem w akademiku przez całe studia, a nawet rok po, bo jakoś można było. Zatrudniłem się w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego, przepracowałem tam równo dziewięć miesięcy. Koło dworca Nadodrze, w budynku otoczonym małym parkiem, ogrodem, postanowiono zrobić wzorcowy klub. Była tam spora sala widowiskowa, na jakieś trzysta osób, i jeszcze kilka pomieszczeń. W jednym miała powstać czytelnia, w innym kawiarnia. Zaprojektowałem tam właściwie wszystko, począwszy od organizacji wnętrza, malarstwa ściennego, figuratywnego, z pejzażem, przez witraż w stylu mondrianowskim do mebli. Potem przez Pracownię Sztuk Plastycznych, przez co najmniej dziesięć lat realizowałem malarstwo ścienne, we Wrocławiu i w wielu miejscach na Dolnym Śląsku – w Dusznikach, Polanicy, Łądku, Międzygórzu. We Wrocławiu miałem trzy realizacje w Rynku – w zakładzie fryzjerskim dla dzieci i młodzieży, w zabytkowej drogerii i w herbaciarni. W tych dwóch ostatnich postarałem się o malarstwo nawiązujące do epoki.

Też w tym czasie, w 1962 roku zaczęła się moja współpraca z wydawnictwem Ossolineum. Najpierw okazjonalnie, a potem już na etacie. Pracowałem tam do 1994 roku. To był bardzo dobry okres dla wydawnictwa, rocznie pojawiała się kilkaset tytułów. Bywało, że redaktor techniczny przynosił z drukarni dwie książki na dzień. Pracował nad tym oczywiście cały zespół, współpracowano z wieloma grafikami, ale sam opracowałem graficznie kilkadziesiąt książek i zaprojektowałem ponad sześćset okładek i obwolut. A na studiach nawet nie znałem słowa „typografia”, nie było takiego przedmiotu. Było tylko liternictwo, przez rok. Pisało się patykiem czy innym narzędziem na kartce formatu A3, trzeba było zakomponować jakiś tekst. Profesor robił korektę i mówił, że... tutaj za dużo światła, a tutaj za mało... Wszystko się robiło ręcznie. Pierwszy komputer pojawił się w wydawnictwie chyba w 1993 roku. Kiedy ostatnio przeglądałem swoje projekty okładek, sam się dziwiłem, że byłem w stanie tak pisać.

Robota w Ossolineum skończyła się w 1994 roku. To był okres

bardzo silnego kryzysu. Myślałem, że jeszcze parę lat popracuję i przejdę na emeryturę, ale nie udało się. Tymczasem rzut beretem ode mnie, przez podwórko, prowadził Galerię Słowa i Obrazu Tereniusz Nawrocki, znana we wrocławskiej kulturze postać. Działali tam artyści nieprofesjonalni. Amatorzy. Było wśród nich kilka osób, które się wyróżniały możliwościami i chęcią kształcenia. Toteż kiedy Tereniusz zaproponował mi, żebym poprowadził dla nich plenery, chętnie się zgodziłem. Te plenery odbywały się przez wiele lat w Miłkowie koło Karpacza, a potem nad morzem, w Międzywodziu. Na tych plenerach też malowałem. Można powiedzieć, że dzięki temu wróciłem na dobre do malarstwa.

Bardzo lubiłem i nadal lubię uczestniczyć w plenerach. Mógłbym naliczyć blisko sto, w których brałem udział, czasem jako prowadzący. Każdy był dla mnie ważny, i te krajowe, i zagraniczne, górskie, nadmorskie, wśród jezior. Każdy to nowe znajomości, nowe odkrycia, nowe wyzwania. Pejzaż jest niewątpliwie najważniejszym źródłem mojej malarskiej aktywności, ale nie tylko on bywa dla mnie inspiracją. Poza tym, żeby zielenie, dominujące letnią porą w pejzażu, nie zdominowały wyobraźni, trzeba czasem zmienić motyw. I paletę.

Nie lubię słowa „natchnienie”, jest bałamutne. Po prostu, robi się coś z potrzeby serca, a w trakcie pracy rodzą się nowe pomysły i rozwiązania. A co do inspiracji, uważam, że jest pochodną obserwacji, patrzenia, spostrzegania.

Jakieś pięćdziesiąt lat temu późnym popołudniem spacerowałem brzegiem morza. Woda spokojna, plaża piaszczysta, w wodzie dużo kamieni, same ciemne. Nagle spostrzegłem dwa białe. Zaciekała mnie ta anomalia, wszedłem do wody i wyciągnąłem je. Jeden wielkości pięści, drugi trochę mniejszy, mam je do dzisiaj. Kiedy je dokładniej obejrzałem, doszedłem do wniosku, że to skamieniałe fragmenty kości jakichś zwierząt żyjących przed tysiącami lat na tym świecie. Lodowce, woda, piasek cyzelowały je niewyobrażalnie długo, doprowadzając do stanu, w jakim je wydobyłem z Bałtyku.

Kilka lat temu byliśmy podczas Wielkanocy w Poroninie. Na jednym ze stoków wycięto kawał lasu – stare, omszałe od północy, porośnięte dorodnymi porostami świerki. Porosty bardzo ciekawe, pazurzaste, drapieżne w formie struktury. Nazbierałem tego trochę i przywiózłem do domu. Nadal je mam. Tamte skamieniałe kości i te zeschnięte porosty posłużyły mi jako obiekty do namalowania serii akwarel. Podobnie stało się z kawałkiem kory sosnowej, znalezionej na ścieżce w lesie za Dusznikami. Powstała opowieść złożona z dwunastu akwarel.

Kiedy Tereniuszowi się zmarło, prowadzona przez niego galeria upadła, a ja poślizgiem przeszedłem przez bramę do Klubu Muzyki i Literatury. Zaczęła się moja współpraca ze Stefanem Plackiem, a potem z Ryszardem Sławczyńskim, który po nim przejął klub. I ta współpraca trwa do dziś. Ryszard założył wydawnictwo „Akwedukt”, dla którego

zaprojektowałem znak firmowy i sporo okładek do książek, które wydawał. Ostatnio, na sześćdziesięciopięciolecie istnienia Klubu, zaprojektowałem medal pamiątkowy. Miałem też w tym Klubie kilka wystaw, pierwsze jeszcze za rządów Stefana Placka. Po ostatniej wystawie wiele obrazów zostało nadal na ścianach. Wiszą tam też mojego autorstwa portrety muzyków, ludzi nauki i kultury. Jest ich czternaście. A zaczęło się od tego, że Ryszard poprosił, żebym narysował portret Chopina... Podobnie było z podwórkiem, które dzieli kamienicę, w której mieszkam, od kamienicy, w której znajduje się Klub Muzyki i Literatury. Kiedy tu zamieszkałem, rosło na nim kilka rachitycznych drzewek. A ja kocham drzewa. Wśród drzew się wychowałem, lubię wśród nich przebywać, uwielbiam je malować. Mają wspaniałe osobowości, dusze. Przez lata przynosiłem z działki różne samosiejki, sadziłem je na podwórku, i proszę, dzisiaj jest tu zielony gąszcz.

Wysłuchała i zapisała Zofia Gebhard

Redaktor prowadzący
Ryszard Sławczyński

Redakcja
Zofia Gebhard

Korekta
Zofia Gebhard, Patrycja Zygałdo

Opracowanie graficzne i DTP: Edward i Szymon Kostka
Druk i oprawa: Drukarnia Reprint

Copyright by © Oficyna Wydawnicza „Akwedukt”
Copyright by © Zofia Gebhard
Copyright by © Edward Kostka

ISBN: 978-83-970717-5-9

Wrocław 2025

Wydawca:



Oficyna Wydawnicza „Akwedukt”
Klubu Muzyki i Literatury we Wrocławiu
pl. gen. T. Kościuszki 10, 50-028 Wrocław
tel. 71 344 43 30, 506 85 50 00
klubmil@wp.pl, www.klubmil.pl

klubmil.pl/ksiegarnia



Las na Baraniej Górze, akwarela



Prowansalskie klimaty, akwarela, 44 x 31 cm

Na okładce: *Głębia*, olej na płótnie, 50 x 70 cm

Wystawa malarstwa Edwarda Kostki

Wernisaż: 17 stycznia 2025 roku o godz. 18.00

W części muzycznej:

Irena Olkiewicz – kontrabas

Andrzej Jungiewicz – fortepian

Roland Abreu – kontrabas

Finisaż: 21 marca 2025 roku o godz. 18.00

W części muzycznej:

Gabriela Szendzielorz-Jungiewicz – fortepian

Galeria Klubu Muzyki i Literatury otwarta
od poniedziałku do piątku w godz. od 10.00 do 19.00,
w soboty od godz. 12.00 do godz. 18.00.

Wstęp wolny. Zapraszamy